

Józef Franciszek Fert o sobie (fragmenty książki autobiograficznej)

A zaczęło się tak:

Odkąd sięgam pamięcią, a jej granice dochodzą do roku 1948, czyli mniej więcej do moich lat trzech, widzę etażerkę wyładowaną przeróżnymi książkami, księgami i papierzyskami. I moje łakome ręce – w owym widoku – sięgające do półki, co najbliżej podłogi się znajdowała, by pochwycić jakiś szpargał i „czytać”, czytać... jak dziadek Marcin, jak mama, jak ciocia Marysia, jak brat Stefan... Oczywiście, nie było to żadne „czytanie”. A może było? Nim bowiem nauczyłem się alfabetu, posiadałem własną, o wiele doskonalszą metodę „czytania”, czyli potrafiłem zapamiętywać to, co ważne lub co za ważne uchodziło. Otóż mama w jakichś wolnych chwilach, że wolnych, to w zasadzie niemożliwe do pojęcia – chyba w popołudniowe niedziele – odczytywała głośno kawałek z *Żywotów świętych starego i nowego Testamentu* ks. Piotra Skargi, z księgi domowej nieomal na śmierć zaczytanej, odziedziczonej prawdopodobnie po pradziadku Walentym, a może dziadku Marcinie. Matka, trzymając mnie na kolanach, powolutku czytała zwykle jakiś kawałek *Żywotów* o patronie danego dnia (o ile, oczywiście, jeszcze się tam był uchował wśród rozpadających się kartek księgi), a ja z nabożnym skupieniem słuchając – i niewiele z tego rozumiejąc – dosłownie zapamiętywałem tekst, linijka po linijce po jednorazowym jego wysłuchaniu. Zresztą nie tylko: ponoć dosłownie potrafiłem powtórzyć całe niedzielne kazanie księdza proboszcza...

Było to nieustannie sprawdzane, bo nikomu nie mieściło się w głowie, żeby malec kilkuletni mógł aż tyle zapamiętać, i to z proboszczowego co najmniej półgodzinnego kazania!

Na szczęście nikt nie wpadł na pomysł, żeby mnie obwozić po jarmarkach i pokazywać jako niezwykle fenomen pamięci, rodem z Korytnicy nad Nidą w powiecie jędrzejowskim, województwa kieleckiego. Krainy należącej dziś do regionu świętokrzyskiego, chociaż po zapasce mej matki sądząc, a też po ogólnoludzkiej tradycji tutejszej, region bardziej się nachylał ku tradycji krakowskiej lub sandomierskiej, niż zbójecko-świętokrzyskiej. Niewątpliwie w przeszłości był to ostatni zachodni skrawek województwa sandomierskiego. No, tak. Ale znowu mierząc wedle zbójeckich zaiste tutejszych inklinacji, jako to poharatanie czy nawet zakłucie „na odpuście” tego czy owego „obcego” – z Rębowa czy Mokrska, oddalonych o całe 2 kilometry! – to jednak pasowalibyśmy chyba raczej do regionu świętokrzyskiego... No, kurcze, nie wiem w końcu, skąd mój ród! Nolens volens – przystaję do zbójstwa świętokrzyskiego. Czyli Scyzoryków, aczkolwiek nie tych z *Pana Tadeusza*, bo jak sądzę, Gerwazy Rębajło Klucznik Mopanku Półkozic Szczerbiec, zwany też Scyzorykiem, umarł bezdzietnie. Bez obawy, bo rozmyślając i gawędząc o tym blisko 200 km od źródła mej fascynacji i grozy, mogę sobie pozwolić na ton nieco swobodny. Ale czuj duch, gdyby mi przyszło znaleźć się na jednym z tych odpustów...

Osiągnąwszy pierwszą klasę szkoły podstawowej i straciwszy podczas jakiejś szkolnej bijatyki przednie zęby miałem już za sobą spore zainteresowanie opinii publicznej i jeszcze więcej stosownych przygód lekturowych, a widocznie tak ich byłem spragniony, że Stefcio, przyjeżdżając na wakacje, przywoził mi jako upominki z dalekich, jak mi się wówczas wydawało, Kielc właśnie książki. Niektóre z nich pamiętam do dziś, jako to *Gucio Pingwin*, *Księga łowów*, *Pyza na Starym Mieście* czy *Dary Wiatru Północnego*. Zamiast snuć te dziwne wspominki, mógłbym je dziś, pięćdziesiąt pięć lat po przeczytaniu, „opowiadać detalicznie”, co mi ongiś taką sławę przynosiło... Podziwiałem wiersze, odczuwałem wobec nich szacunek nieomal nabożny, ale pasjami lubiłem raczej powieści, opowiadki, gawędy i wszelkie bajędy. Może wskutek zanurzenia od dziecka w oceanie lokalnych opowieści i mitów, które snuły się przez całe długie wieczory jak Iniana nić w matczynym kołowrotku, jak Iniane struny postawu na matczynych krosnach, pomiędzy którymi migąło czótenko przy świetle księżycy, a może lampy naftowej? W środku tej łódeczki, co przewoziła archaikę w dzisiejszość tkwiła „cywka”, wycięta z czarnego bzu, na którą nawijało się nić barwnego wełnianego wątku. Ileż godzin spędziłem pod tymi krosnami, patrząc na pracującą matkę i nudząc ją o utkanie koszuli ze lnu?!

(...)

W pewnym sensie państwowa, czyli przymusowa edukacja nie była mi potrzebna. Czytać umiałem, a w tej mojej wiejskiej szkółce rozrzuconej po całej wsi w siedmiu osobnych chałupach niewiele było dla mnie do roboty. Toteż moje szkolne starania o palmę pierwszeństwa wśród rówieśników zamykały się w kilku miesiącach zimowych i okołozimowych: od nastania jesiennych szarug, gdy już nie dało się wypędzać bydła na paszę, do pierwszych wiosennych traw, gdy wody Rzeki opadły i należało przystąpić do istotnych zajęć i prawdziwej edukacji wśród równolatków i starszych, pomiędzy pilnowaniem krów i owiec, a sondowaniem nieba i wodnych żywiołów w nadnidziańskich rozlewiskach i łąkowych rowach. Prócz tych uniwersytetów polno-łąkowo-niebieskich całe dnie i noce wypełniały mi książki.

Z tym dobrem, z tym lekiem na całą biedę mojej świętokrzysko-krakowskiej wsi nie rozstawałem się nawet w drodze na pole. Nawet gdy z Zenkiem jechaliśmy pełnić jakąś istotną misję rolniczą. Zresztą ten mój nieco ode mnie starszy braciszek był wówczas zajadłym wrogiem książek, które – jak rozgłaszał – przyprawiały go o ból głowy. Może coś w tym i było, bo ówczesna farba drukarska zionęła potężnym aromatem, przypominającym pastę do butów, ale akurat dla mnie był to aromat najmiłszy, no – żeby nie zbluźnić – nieomal boski!

(...)

Moje uzależnienie od książek, ta moja mania czy opętanie pchało mnie najwyraźniej ku

martyrologii. Kiedyś odważyłem się nawet czytać podczas orki. Zenio prowadził pług, a ja miałem kierować parą naszych koników. Konie były mądre i posłuszne, szły równo i prosto, pole – na Lipiu – też należało do najmniej uciążliwych, więc wyciągnąłem zza pazuchy jakiegoś *Szatana z siódmej klasy*, co mi ofiarował Stefan w nagrodę za deszcz piątek na świadectwie z szóstej klasy, czy coś w tym rodzaju, i trzymając lejce i bat w ręce lewej, a w prawej otwartą książkę, poganiałem konie i czytałem. Zresztą to doświadczenie przydaje mi się do dziś, gdy czytam w zatłoczonym autobusie: jedną ręką trzymam się jakiegoś uchwytu, a w drugiej trzymam książkę. Tego jednak Zenkowi było już za wiele. W którymś momencie, gdy trafiło mu się puścić – zresztą nie z mojej winy! – kolejną „caliznę”, a oraczem był chyba nie nadzwyczajnym, wydarł mi bat z ręki z zamiarem solidnego wymłócenia tym razem nie koni, lecz mnie. Trochę, to prawda, oberwałem, ale prócz pasji czytelniczych posiadałem też niezły charakter w nogach, więc umknąłem z pogromu i uniósłszy się słusznie honorem, zasiadłem w przyzwoitym oddaleniu od mego prześladowcy w cieniu dojrzewającego głogu, na Borkach, i utonąłem w niezmaconym oceanie lektury. Dziś myślę, że wówczas po prostu perfidnie mojego kochanego Zenia sprowokowałem... Z wściekłością, ale bezsilny, bo nadużył siły wobec młodszego, wydzierał się na Lipiu na konie i tłukł je batem, a ja czytałem, czytałem, czytałem...

Ale po jakimś czasie zabrakło w mojej wsi książek. Próbowałem czytać niektóre po raz kolejny, ale tu na przeszkodzie stała moja chorobliwa pamięć. Cóż było robić? W wieku czternastu lat ruszyłem w świat.

Ale to już zupełnie inna historia.

Jacek F. Brzozowski: *Świętokrzyska zapaska. (Gawędy)*, Lublin 2007, ss. 49-56.